Rozmaitości

Dnia 11. sierpnia **Nr 32.** 1838 roku.

NIDA.

PODANIE GMINNE.

Istniałam przed wieki, lecz imię moje
Poźniéj mi piękna nadała dziewica.
S.

1.

Piérwsze wiosny słońce oświéciło piękną i rozległą dolinę. Do koła obszary niwne szybką przerznięte rzéką, maiły się pięknemi nadziei kolory, a nizkie chaty w rożnym stawione kierunku, wydawały się zdala, jak wzgórki ziemi pracą kreta na wiérzch wydobyte. Były one tak proste i nędzne, jak życie ich biédnych, lecz spokojnych mieszkańców, jak byt pracowitych rybaków, rolników i pastérzy, którzy w nich dni swe pędzili. Jeszcze zbytki i występki oświéconego świata nie doszły do skromnego zakątku, gdzie czasem tylko zbłąkany, śmiały rycérz, znużony wędrowiec, lub gorliwy wiary świętéj sługa, przyniósł spokojnym mieszkańcom wieść jaką o reszcie obcéj dla nich ziemi. Świéżo wprowadzonéj do Polski świętéj wiary światło, posłało i tam promień łaski i zbawienia. Lud ten prosty i poczciwy słuchał pilnie słów i nauki, która im obiecywała opiekę wyższą nad ludzi, a na tamtéj stronie grobu szczęście wieczne, jakiego oni tutaj nawet w marzeniach nie znali. Szczątki dawnych zabobonnych przesądów pozostałe śród światła prawdziwéj wiary, były one, jak lekkie chmurne obłoki, co po dészczu czasami jeszcze gdzie niegdzie czysty błękit nieba zasłaniają; nieznaczne i nieszkodliwe mijały tak szybko jak i obłoki, spędzane wiatru powiewem; bo w tych duszach prostych i niezepsutych, żadne ziarno złego w nieuprawne nie upadło pole. Dni ich, ciągłéj poświęcone pracy, spływały zwolna śród zatrudnienia i znojów, nie rodząc w ich sercach ni spomnień, ni przyszłości; kochając rodzinę swoję, każdy pracował na jéj wyżywienie, nie znając co troski o przyszłą jéj dolę. Taż sama rzéka, też same zostawały niwy, taki był zakres i myśli i dążeń każdego, mały wprawdzie dla tego, co poznał i użył więcéj, lecz wystarczający dla skromnego rybaka lub pastérza, który świat swój cały zamknął w tym szczupłym obrębie.

Ta rzéka, żyzne skrapiająca pola, była dla nich niejako bożyszczem złego i dobrego; w prostocie swéj niewinnéj oddawali jéj prawie cześć boską. Nie raz rozhukane wody zabrały biédną chatkę, lub plony potem okryte zniszczyły, to znów zwilgniona ziemia obfitemi zbiory pracę poczciwego nagrodziła rolnika; obawa lub wdzięczność prowadziły więc mieszkańców na wybrzeża wody, z dziękami lub wyrzekaniem na żywioł, któremu oni zysk lub stratę przypisywali.

Tam ogrzani dobroczynném światłem piérwszych wiosny promieni, dwaj rybacy zarzucali wędki swoje w srébrzyste nurty ojczystéj swéj rzéki. Obaj wyszli już po za wiek średni człowieka, z przypruszonemi głowy lekkim starości szronem, schyleni pracą i znojem, lecz czérstwi prostotą życia i czystością obyczajów, długo siedząc obok siebie w milczeniu, całą myśli uwagę wpuścili w szczupły obręb fal kilku, kędy nurzały się ich wędki. Nareszcie jeden z nich wspólne przerwał milczenie:

»Źle idzie, bracie; nie życzliwe nam dzisiaj wody, moja wędka jeszcze ani jednéj nie złapała płotki.«

»Ani moja Tomaszu, może dary nasze za małe; biéda, oj bieda! u mnie ostatni połów już spożyty, a dziś widzę z próżnemi trzeba wrócić rękoma.«

»Nie turbujcie się Wojciechu, może jeszcze łaskawszemi pokażą nam się wody; oj gdyby tu tylko przyszła Nida, wnetby się wędy nasze napełniły rybami.«

»Dobrze mówicie bracie, ona jest oblubienicą téj rzéki, i zdaje się nawet, jakoby wody były jéj rozkazom posłuszne. Pamiętacie sąsiedzie,« mówił daléj rybak po chwili namysłu, »pamiętacież, jak w dzień urodzenia téj dziéwki wody wystąpiły wysoko i strasznie, bałwany szumiały jak grzmoty gdy chmurno, i wznosiły się jak węże, gdy się rzucają na zdobycz. Strach ogarnął wszystkich, kobiéty i dzieci płakały, a my żałowaliśmy gorzko dobytku naszego i naszych chatek, które zabiérały bez litości fale rozgniewane. Domostwo Ziemowita już już miało być porwane przez wody, bałwany wciskały się do izby, kędy właśnie przyszła na świat Nida; aż oto, patrzcie sąsiedzie, jak tylko ujrzały to dziécię, zdawało się, że na widok jego zatrzymały się nagle i wnet cofać się zaczęły i wracać do swego łożyska. Wkrótce woda opadła, a na brzegach tyle zostawiła drzewa i słomy, żeśmy odbudować mogli nasze mieszkania bez szkody. Odtąd zawsze rzéka ta szanowała Ziemowita chatkę, zawsze pola jego najżyźniejszy plon wydają; a gdy zarzuci swą wędę, to jéj sam na brzég wyciągnąć nie może.«

»Pamiętam ja, pamiętam ten dzień sąsiedzie, wszakci jam zaraz mówił, że wody dla tego wystąpiły, by dójść do domostwa Ziemowita i obaczyć to dziécię, które sobie za swoje przyznać chciały; jakoż mają one coś spólnego z tą dziéwką, ona nie boi się ich wcale i najbardziéj lubi siedzieć nad ich brzégami. A w roku zeszłym, nie zapomnieliście przecież Wojciechu, jak kilka dziéwczyn naszych kąpało się wraz z Nidą, w tém przyszedł dészcz, ulewa ogromna, one ze strachu puściły się na głębinę i same nie wiedziały co robić. Nida jednak nie zlękła się wcale, kazała się towarzyszkom uchwycić swego ubrania i tak szczęśliwie wyprowadziła je na brzég.«

»Nie inaczéj Tomaszu; pamiętam ja i ten i wiele innych jeszcze wypadków, w których zawsze widzieć można znajomość Nidy, i że tak rzekę, pokrewieństwo jéj z naszemi wodami. A potém już tylko spojrzeć na nią, to się zaraz widzi, że to coś innego jak wszystkie dziéwki nasze; i one są dziarskie i hoże, ale ta Nida jest tak piękna, ma tak coś różnego od nich, że ja sam stary, ja sam, mówię wam mój bracie, nie raz żałuję, że nie jestem młody i gładki, by ją pojąć za żonę.«

»Oj co się teżto wam zachciwa Wojciechu, taćto ona marzy zawsze o jakichsić tam rycérzach; moja Marychna, co czasem z nią razem popędza owce do wody, mówi, że Nida opowiadała jéj raz o jakimsić rycérzu, co jéj się przyśnił w noc rocznicy jéj urodzenia. I wystawcie sobie sąsiedzie, jakie marzenie szczególne: zdało się jéj, jakoby rycérz jakiś wyszedł z wód rzéki naszéj i na dzielnym koniu jednym skokiem był już u jéj mieszkania, i mówiła długo o nim, jak był gładki i dorodny, i jak błyszczała na nim zbroja, a on podał jéj rękę i niby prowadził ją gdzieś z domu ojca, w tém przyszła czarna chmura, rycérz się gdzieś podział, ciemność zupełna ogarnęła ją nagle i ujrzała się nad brzegiem rzéki, biegnąc ciągle w téj ciemnicy i niby w tym biegu uczuła, jak raptem w dół gdzieś leciała.«

»Ej, dajcie pokój tym snom mój bracie; zwyczajne to młode, myśli to o zbrojach, o rycérzach, o których nie raz słyszy od starego Ziemowita, ale jak nie będzie widać rycérza, to przyjmie rybaka ze swojéj wioski, a mój Rustanek, nie tęgiżto chłopak, ledwo sarny nie wyścignie, a bystrego orła w lot strzałą zabije. Podoba mu się ta dziéwczyna, i nie raz mi mówił, że jak jéj nie otrzyma, to innéj szukać nie chce, a czegoż jemu nie dostaje?«

»Oto idzie Nida,« przerwał mówiącemu towarzysz i obaj zwrócili oczy na biegnącą ku nim dziewicę.

Szybkim krokiem, tykając ledwo ziemi, szła piękna Nida, wysmukła i chyża jak łania borów ojczystych; w białą przybrana szatę, dwa sploty ciemnych włosów w tył zarzucone, a na młodocianéj twarzy ośmnasta wiosna życia szczęśliwego rozlała wszystkie wdzięki, w które śmiertelnym stroić się wolno. Łagodna jak baranek, którego pielęgnowała białą dłonią w rodzinnéj zagrodzie, skromna jak fiołek, co go wraz z wiosną, między trawką w rodzinnym szukała ogródku, była lubą wszystkim, co ją otaczali, lubą jak nadzieja mieszkańcom téj ziemi. Patrząc na anielską dziewicę w tém zakątném siole, zdało się, że zbłąkany aniołek zszedł z cicha w te światy, tyle było nieba w jéj błękitnych oczach, tyle nie-

ziemskości w jéj boskich spojrzeniach. A gdy przyszła do patrzących na nią rybaków i pozdrowiła wdzięcznie, obaj spojrzeli na siebie, a potém na nurty, co szumnie płynęli i zdawali się mówić w myśli: To nie ziemska istota.

»Jakże wam idzie połów sąsiedzi?« zapytała dziewica.

»Oj źle Nido, źle jak dotąd; ale teraz musi pójść lepiéj, kiedyś ty tutaj przyszła; powiédz co tym zuchwałym wodom, niech nam dadzą dzisiaj co zyskać.«

I Nida usiadła na brzégu rzéki i wziąwszy wędkę z rąk rybaka, zanurzyła ją sama w szumiącéj z cicha fali: »Może ręka moja szczęśliwsza niż wasza, mój ojcze!« rzekła i wkrótce potém z lekka zatrzęsły się wędki i trzepiące się rybki na brzég wyciągnięte zostały. Szczérze dziękowali rybacy hożéj dziewicy za jéj skuteczne wstawienie się, a ona nie słuchając słów wdzięczności, szybko uciekała w swą stronę. Kilka małych rybek rzucono do wody, na podziękowanie dobroczynnéj rzéce, a resztę zabrano do chatek, by skromny zasiłek sporządzić.

2.

Brzask jutrzenki pozłocił skromnéj chaty szybkę. Już tam powstali skrzętni mieszkańcy i tak radośnie i ochoczo dzienną pracę poczęli, jak był wesołym piérwszy słońca promień, co zadrzał na ścianie szczęsnego zakątku. W dużéj izbie, mizernie, lecz chędogo zaopatrzonéj w sprzęty, krasna dziewica skromny zastawiła posiłek: chléb z własnego upieczony ziarna, masło i mléko od własnych dostarczone krówek, a przy stole sędziwi rodzice i nadzieja i pociecha ich życia jedyna ich zasiadła córka. I nie było w tych sercach prostych żadnego życzenia, ni chęci, ni żadnéj troski, ni obawy w téj chwili rodzinnéj biesiady, gdzie świat ich cały, szczupły i obrębny, lecz dostatni dla nich, był z nimi i przy nich. W drugiéj izbie, przez drzwi uchylone, widać było niekształtny obraz Matki Chrystusa, trzymającéj na ręku maleńkiego Zbawiciela, a daléj krzyż święty, prosto wyrobiony, i obok niego łuk ze strzałami, miecz i zbroję żelazną, jakiéj wówczas używali wojownicy. Widać było z tych znaków, że sędziwy starzec nie zawsze równie spokojnie, jak dzisiaj, spożywał chléb swój rodzinny, że spomnienie przeszłości miało dla niego coś więcéj, niż gonienie w borach blizkich za szybkim źwierzem lub uprawę żyznego zagonu i nadzieję obfitego zbioru. Sędziwy Ziemowit w piérwszéj młodości swojéj opuścił zagrody ojców i obok króla swego walczył mężnie na polu sławy; poźniéj wrócił do spokojnéj siedziby, nie żałując ni blasku, ni świetności, które tam widział, szczęśliwy w wyborze towarzyszki, szczęśliwy w kochanéj swéj Nidzie. Nieba błogosławiły Ziemowita życzeniom i pracy, bogate były plony w polach jego i liczne stada ponadbrzeżne okrywały niwy, i jedynaczka jego nad inne wdziękiem i cnotą jaśniała, i swoboda i spokój w cichym jego zamieszkały domku. A sąsiedzi jego, widząc w tém wszystkiém wyższéj władzy wolą, znaleźli w Ziemowita szczęściu coś więcéj nad ludzką pomyślność i użyczyli mu cząstki nadziemskiego światła. Był on dla nich sędzią w niewielkich sporach, pojednawcą w krótkich zwaśnieniach. Błogosławieństwo jego było konieczne dla każdéj nowo zaślubionéj pary, dla każdego nowo przybyłego członka do towarzyskiego ich ciała. Wszyscy kochali go i szanowali, jak spólnego ojca, a piękną córkę jego, jak miłego i dobroczynnego anioła.

Gdy skromny spożyto zasiłek, Nida wygnała na zielone niwy białe stado ojca swego. Różnobarwne kwiaty wiosny drzały pod kroplami rosy, a depcąc je Nida, zbiérała piękniejsze dla siebie. To tutaj, to znów tam zerwała kwiateczek, któremu dała piérwszeństwo nad mniéj ładną bracią, a lekka i wesoła jak pląsające obok niéj baranki, to pogoniła za szybkim motylkiem, to znów uszczknione kwiaty w piękne wianki zaplatała.

W oddali po za drzewem stał młody wieśniak na łuku swym wsparty, zdawał się gonić myślą i ścigać oczyma te miejsca, kędy Nida radośnie biegała, lecz nie za kwiaty, nie za motylami puścił młodzian swe spojrzenia, dziewicę one tylko goniły, bo i w tych miejscach prostoty, tkliwe uczucie ozwało się w sercu jego. I był smutek w męzkich myśliwca rysach, a myśl niezrozumiała, rodziła jakieś obrazy snów i rycérza, o czém wczoraj przy wieczerzy usłyszał Rustan z ust ojca swojego. Bo dawno już młodzian marzył życia towarzyszkę w pięknéj i hożéj dziewicy. Widział ją siedzącą obok siebie, podającą chłodny napój znużonemu dzienną pracą, lub

wybiegającą z chaty, by powitać po znojach i gonitwie za zwierzem. I teraz patrząc na piękną dziewoję i malując na tle myśli te świetne nadziei obrazy, jakaś trwoga mimowolna męzkie rysy zachmurzała, i marszczył brwi czarne, pomnąc, że tyle wdzięków senne zjawiska wydrzéćby mu były w stanie.

W tém szybko przybiegła Nida do drzewa kędy stał młodzieniec, i prędko zajrzała po za drzewo, i smutek jakiś po jéj anielskiém przeleciał obliczu: »To tyRustanie?« rzekła do niego, »wybacz, ja nie ciebie tutaj szukałam; zdało mi się, lecz ja sama nie wiém, co mi się zdało... oj! to te sny, te sny;« mówiła dalej, potrząsając z lekka głową, i uciekła chyżo, jakby od własnych uciec chciała myśli. Patrzał za nią Rustan, potrząsł także smętnie głową i zwolna się oddalał, powtarzając także. »Oj te sny, te sny!«

3.

Miesiąc minął, zapomnieli mieszkańcy sioła o śnie córki Ziemowita, nie mówił o nim więcéj ojciec młodego Rustana, ni stary sąsiad nie spomniał, łowiąc ryby na brzegu swéj rzéki. W dwóch tylko sercach myśl ta brzmiała jeszcze ciągle, w jedném głosem nadziei, w drugiém smętnie, bo obawą utraty swych marzeń. I nie raz Nida, siedząc nad brzegiem wód zwolna płynących, wzrok swój łzawy w srébrzyste topiła głębiny, i Rustan widział łzy mimowolne, które po krasnych spadały jéj licach, i zdawały się żądać czegoś od mruczących u stóp jéj nurtów, i wówczas puszczał się w czarne bory, i tam w walce z dzikim zwiérzem chciał serca walkę ukoić. Raz patrząc z dala na siedzącą na wybrzeżu Nidę, ujrzał jak sen lekki znużone zawarł powieki, i twarz dziewicy niezwykłą błysła radością, a gdy otwarła oczy i wzrok rzuciła w około, postrzegłszy Rustana, wesoło pobiegła do niego: »Rustanie, Rustanie!« zawołała, »patrz znowu mi się śniło o nim; tak był ładny, gdy wyskoczył na koniu na brzég rzéki naszéj i tak błyszczała na nim zbroja, a mówił coś do mnie tak słodko i mile; powiédz mi Rustanie, czy ziści się sen mój, czy prędko ujrzę ja go tutaj? ale cóžto, nie słuchasz mnie widzę, odwracasz się, czy gniewasz się na mnie?«

»Nicto, nic Nido,« Rustan odpowiedział, »daj Boże, by się sny twe ziściły, ujrzelibyśmy rycérza, a Rustan by się ucieszył, gdyby Nida była szczęśliwą.«

Odszedł zwolna, odszedł smętny, zostawiając dobrą dziewicę z pytaniem w myśli, co rzuciło tę posępność w twarz młodego Rustana. Proste Nidy serce zostawiło bez odpowiedzi to pytanie myśli niewinnéj, a gdy młodzian znikł po za drzewa, znikły i niepokoje o niego w czystéj duszy dziewicy, a marzenia niewyraźne, co zamąciły spokój wód jéj życia, przedstawiły się wyobraźni, jak lube i słodkie nadziei obrazy, i cieszyła się niemi, nie pomna, że oparte były na śnie tylko, a jak sen minął tak i one minąć mogą.

Odgłos daleki grzmotu, zwiastując burzy zbliženie, powrót do chaty marzącéj przypomniał dziewicy, i zwolna kroki swe ku rodzinnéj zwróciła zaciszy, gdzie już przezorni rodzice, pozamykawszy bydło, jedynaczki swéj z utęsknieniem wyglądali. Z radością ujrzeli ją wracającą, bo wnet chmura po nad wioskę się zbliżyła, i coraz częstszy był grzmot i coraz jaśniejszy blask groźnych błyskawic i dészcz ulewny uderzył w szyby małych okienek i skromna strzecha drżała pod żywiołów walką. W bystrych strumieniach spływały wody z poblizkich wzgórków, a zakryte chmurami słońce, zaledwie niewyraźnego światła ostatnie promienie na zaciemniony świat posyłało. Obawa i mimowolny przestrach przejmował patrzących na srożenie się burzy; w tém zlekka zaszeleściało coś do chaty Ziemowita. »To wiatr,« wyrzekła zcicha żona sędziwego starca. Powtórnie mocniejsze dało się słyszéć stukanie. »To nie wiatr,« rzekł wstając Ziemowit, »pójdę ja otworzyć, może który z rybaków, napadnięty burzą, żąda u mnie schronienia.«

»W imię Boga i gościnności!« zawołał głos nieznajomy, nim jeszcze starzec zdołał drzwi podwórka swego uchylić. »W imię Boga i gościnności!« powtórzył tenże głos, gdy Ziemowit otworzył małe wrótka i zdziwiony ujrzał przed sobą dwóch nieznanych ludzi. Obaj długiemi okryci płaszczami, jeden, który zdawał się być panem, na dzielnym siedział rumaku; drugi sługą być musiał zapewne, i konia swego, zmęczonego drogą, za cugle prowadził. Gdy Ziemowit drzwi otworzył, jeździec zsiadł z konia, a w tém poruszeniu uchylony płaszcz odsłonił śklący pancérz, i starzec poznał, że rycérz jakiś żąda wnijścia

w progi jego domu: »Patrzajcie ojcze, przemokliśmy do nitki,« mówił nieznajomy.

»Dość, dość,« przerwał Ziemowit, »nikt jeszcze na próżno nie zażądał méj gościnności, wnijdźcie panie, a co ta chatka posiada, chętnie z wami podzielę. Nido, Nido!« zawołał głośno, obracając się do izby, kędy siedziała córka; »idźno, otwórz z tamtéj strony drzwi obórki, dał nam Bóg gości niespodziewanych; idź moje dziecko, tylko ostrożnie obejdź po pod dach, żeby cię dészcz nie zmoczył.«

Posłuszna Nida wyszła, by rozkaz ojca wypełnić; serce jéj biło gwałtownie, bo sny tajemnicze w żywych kolorach stanęły przed duszy oczyma, a przeczucie jakieś mówiło jéj zcicha, że to rycerz być musi. I jakże jéj było, gdy przechodząc przez sień, spostrzegła téż zbroją, ten ubior, co w sennych zjawiskach tak mocno młodocianą zajął wyobraźnię, i stanęła jak wryta na widok duszą przewidziany, acz ledwo własnym zawierzając oczom. »Idź, idź Nido,« powtórzył ojciec, »idź co prędzéj, czegoż tu stoisz i czas tracisz, a dészcz moczy tamtego biedaka.«

Pobiegła wyrwana myślom swoim Nida. »Możeto nie on,« myślała sobie, idąc rozkaz ojca wypełnić, »prawda, że zbroja taż sama i ubior podobny, z tém wszystkiém nie powiém mu tego, żem go już widziała, możeby on myślał, że złe duchy głowę Nidy zawróciły, i że gada sama nie wié o czém.«

»Chodź, chodź!« wołał znowu Ziemowit na wracającą córkę, »trzeba tę izbę uprzątnąć dla rycérza Rajmunda; matka da im się czém posilić, a my tymczasem przygotujemy im komorę, będzie tam wygodnie i cicho, nie będziemy im przeszkadzać, choć rano wstaniemy, bo to rycérze z drogi, to potrzebują wczasu.«

»Czy zdala przybyli, mój ojcze?« zapytała Nida. — »Oj z daleka, moje dziewczę. Spiesz się jeno; ja tymczasem pokażę służącemu rycérza, gdzie się mają rozgościć.«

To mówiąc wyszedł, a Nida wyprzątnawszy, wróciła do matki i gościa.

»Jakże piękna,« pomyślał rycérz, gdy rzucił wzrok na wchodzącą ze spuszczonémi oczyma dziewicę; »jakże piękna!« powtórzyło serce, gdy oczy błękitne spotkały czarne nieznanego oko.

»Czyliżto on?« pytała myślą zadumana Nida spomnień snu i nadziei swoich, i lubo snów spomnienie nie dawało pewnéj odpowiedzi, serce jéj jednak mówiło, że to on, przedmiot marzeń i przeczucia; że to on, którego wymarzyła dusza, nim oko ujrzéć zdołało, i odtąd uciekł spokój z niewinnego Nidy serca, ocean marzeń i rozlicznych myśli rozwinął się w czystéj duszy anielskiéj dziewicy. Była ona jak ta palma, rzucona losem śród rozległéj afrykańskiéj puszczy. Któż ją tam zaniósł? nikt nie wié; któż uprawił piaszczystą ziemię? nikt nie wié; lecz ona rośnie i kwitnie, i pięknością swą przenosi towarzyszki, które wsadzone i pielęgnowane czujną ręką, nie są jednak tak świetne, tak piękne, jak ona. Może krótszy jéj pobyt w samotnéj puszczy, może ją zgryzie robak południa, lub nieosłonioną złamie wiatr północy; może chciwy pielgrzym zechce ją przenieść do swego ogrodu, a ona uschnie wyrwana swéj ziemi: bo dla niéj puszcza ojczyzną i w puszczy tylko, choć krótko żyć mogła. Tak była Nida samotna w swém życiu, z tkliwą duszą, z czułém i niewinném sercem, niepojęta prostym wieśniakom, którzy w niéj nadludzką widzieli istotę, a ona tylko od nich więcéj miała czucia, i to czucie dla jednego poświęciła serca, i to czucie jednemu tylko wylała marzeniu!

(Dokończenie nastąpi.)

POJEDYNEK

Adama Tarły, wojewody lubelskiego, z Kazimierzem Poniatowskim, podkomorzem koronnym, odbyty r. 1744, pod Marymontem.

Wyjątek z rękopisma dotąd drukiem nieogłoszonego.*)

Ojcowie nasi mieli chwalebny zwyczaj zapisywać ważniéjsze zdarzenia, publiczne i potoczne, wieku, w którym żyli; a tak każdy niemal obywatel był historyjografem swojego czasu i swojéj okolicy. Jeżeli już nie miał co zapisywać, notował o spustoszeniach morowego powietrza, o pomorze bydła,

*) Wielkie Księztwo Poznańskie, wydające dotąd pięć pism czasowych polskich; w Poznaniu: *a)* Gazetę Poznańską; *b)* Szkołkę niedzielną; *c)* Archiwum teologiczne; w Lesznie: *a)* Przyjaciela ludu; *b)* Przewodnika rolniczo-przemysłowego; — zostało od dnia 1. kwiet. r. b. w swéj literaturze peryjodycznéj jednem jeszcze pismem pomnożone, mianowicie: *Tygodnikiem literackim, literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęconym,* którego redaktorem jest pan A. Wojkowski. Z pisma tego, wydawanego w Poznaniu w drukarni W. Deckera, odznaczającego się doborem artykułów, gładkim polskim stylem i samoistnym krytycznym sądem o dziełach, wyjmujemy niniejszy artykuł, w celu zwrócenia światłéj uwagi czytelników naszych na to tak odszczególniające się w peryjodycznéj literaturze polskiéj zjawisko. *Redakcyja.*

o powodziach, suszach, burzach, nieurodzajach i t. d. Tym sposobem tworzyły się szacowne materyjały do historyi krajowéj, które w miarę zdolności i stanowiska, jakie piszący w społeczności zajmował, stawały się więcéj lub mniéj zajmującemi. Zwyczaj ten dotrwał, lubo nie tak powszechnie, aż do upadku Polski, i z téj epoki znajome są publiczności Pamiętniki rozmaitych osób, po wielu rękach krążące. Z tych wszystkich Pamiętników, zdaniem naszém, najwięcéj wartości historycznéj mają Pamiętniki nieznajomego autora, z których kilka wyjątków w pismie naszém umieścić postanowiliśmy. Autor ich, człowiek z głębokim rozsądkiem, zapatrujący się na ludzi i zdarzenia wielostronnie, a nadto dokładnie władający piórem, potrafił pismu swemu nadać jakiś urok ukryty, który jest jedną z głównych okras dzieł historycznych. Opisując ważniejsze zdarzenia polityczne swego czasu, jakiemi była rzeź humańska, konfederacyja barska i t. d. nie gardzi on potocznemi, ale czyni pomiędzy niemi wybór, a przyznać trzeba, wybór bardzo dobry. Potoczne bowiem zdarzenia w Pamiętnikach jego malują obyczaje wieku, w którym żył, charaktery osób, przesądy i t. p., a łącząc się tym sposobem ściśle z dziejami narodowemi, są istotną ich częścią, ogół interesującą. Będziemy poźniéj mieli nie raz sposobność przekonać czytelników o prawdzie naszego sądu o tych Pamiętnikach wyrzeczonego, a teraz przystępujemy do wyjątku z nich głośnego w swoim czasie zdarzenia, to jest pojedynku Adama Tarły, wojewody lubelskiego, z Kazimiérzem Poniatowskim, podkomorzym koronnym:

»Tegoż roku 1744 dnia 16. marca pod Marymontem, młynem sławnym z mąki pszennéj, o ćwierć mili od Warszawy, zginął w pojedynku sławny reputacyją między pany i męztwem, Adam Tarło, wojewoda lubelski z okazyi takowéj: Miał on żonę, ale starą babę, z którą w dobrach osadzoną nie mieszkał, ale pilnując publik jako senator, a do tego młody i hoży, idąc za zepsuciem serca, kochał się w niejakiéj Anusi (jak ją powszechnie zwano) naturalnéj córce L*, wojewody krakowskiego i Krysty, mieszczki krakowskiéj, którą L* Krystowi odmówił, a potém za pośrednictwem wielkich pieniędzy nabywszy, i o rozwód postarawszy się, we dwa roki po narodzeniu Anusi, za żonę pojął. Anusia, wyrosłszy na piękną pannę, haniebnie wpadła w serce Tarłowi, wojewodzie lubelskiemu, który nie śmiejąc opuszczać swojéj babki dla pieniędzy i zapisów, a spodziewając się lada kiedy sprawienia jéj pogrzebu jako dogorywającéj w latach, zawczasu sobie serce i rękę do przyszłego ślubu u Anusi wysługował, czyniąc jéj w każdéj kompanii piérwsze honory.

Na balu u Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego, wziął najpiérwéj w taniec swoję Anusię. Udał się potém do Poniatowskiéj, wojewodzianki natenczas mazowieckiéj, potém Branickiéj hetmanowéj wielkiéj koronnéj. Lecz damy urażone tém przeniesieniem Anny nad siebie, zaraz uradziły między sobą, ażeby żadna z wojewodą nie szła w taniec. Gdy tedy zapędzony do wojewodzianki mazowieckiéj Tarło, odebrał od niéj tę odpowiedź: »Z kim eś Wpan tańcował piérwszy taniec, z tą tańcuj i drugi;« jak był ognisty człowiek, tak zaraz obróciwszy się do kompanii, zawołał na cały głos: »Będę go miał za szelmę, kto z wojewodzianką mazowiecką pójdzie w taniec.« Wojewodzina mazowiecka matka, kobiéta dumna i mężkiego serca, na te słowa rozkazała Kazimiérzowi, podkomorzemu koronnemu, synowi swemu, aby natychmiast szedł do tańca z siostrą. Skoro z nią stanął do tańca podkomorzy, wojewoda lubelski zawołał na niego: »Otóż jesteś szelma.« Podkomorzy odbił to słowo na wojewodę, ztąd rozruch i rwetes do szpady (obaj albowiem nosili się w francuzkim stroju). Ale gospodarz balu, surowy, pogroziwszy obiema aresztem za porwanie się do oręża pod bokiem królewskim, i za nieuszanowanie domu swego, kazał natychmiast obiema wyniść z kompanii. Posłuszni rozkazowi, którego lekceważyć u Bielińskiego niebezpieczno było, wyszli, a wychodząc dali sobie słowo na pojedynek, który podług zmowy odprawili trzeciego dnia pod Piasecznem, o mil trzy od Warszawy, na pistolety z koni. Wojewoda zabił konia pod podkomorzym, który padając na ziemię wołał przejęty strachem, ile młody i w piérwszém polu takowéj okazyi: »Kocham pana wojewodę!« Za pośrednictwem sekundantów ścisnęli się na placu i z dobrą manierą rozjechali. Nim przybyli do domów swoich już w każdym domu wiedziano, co się stało na pojedynku. Gdy podkomorzy stanął przed matką, chcąc ją w rękę pocałować, zamiast znaku ukontentowania, że zdrów powrócił, odebrał od niéj policzek z takiém przywitaniem: »Wolałabym cię widzieć trupem z placu przyniesionego, niż z taką ohydą powracającego. Nie zów się synem moim, jeżeli téj hańby nie powetujesz.« Podkomorzy ledwo przez połowę czując w sobie takiéj zręczności, jaką miał do oręża wszelkiego rodzaju wojewoda, nie radby się był więcéj z nim kłócić; lecz dla matki rad nie rad musiał. Pogodziwszy się więc i pokwitowawszy z zatargu po piérwszym pojedynku, trzeba było szukać nowéj do kłótni przyczyny. Tę dały paszkwile z obu stron biegające. Wojewoda srodze tknięty honorem swojéj Anusi, najbardziéj w tych paszkwilach szarpanym, wyzwał powtóre podkomorzego, dawszy mu na wolą wybór placu i oręża. Podkomorzy determinował plac pod Puławami, majętnością wuja swego Czartoryskiego, wojewody ruskiego; oręż, pistolety. Pojedynek ten nie doszedł; przeszkodzony aresztem

królewskim (o który, jak mówiono, postarała się familija podkomorzego, nie dufając szczęściu i widząc możniejszego w partyją wojewodę). Pogodzili się powtórnie i przeprosili za wdaniem królewskiem, przez posłanego z aresztem; lecz to było na pozór tylko i do czasu nastrojenia pewniejszéj zguby wojewodzie. Podkomorzy dotąd wyzywany, wyzwał wojewodę, plac pojedynku pod Marymontem wyżéj namienionym, termin dwóch niedziel dla przygotowania się słusznego w sekundantów i przyjaciół naznaczywszy. Na nieszczęście nikogo nie było podtenczas w Warszawie z familii wojewody, przeciwnie zaś z strony podkomorzego wszyscy się pozjeżdzali. Domownicy wojewody i konfidenci, przenikający rzeczy z obu stron, odradzali mu wszelkiemi sposobami, aby na ten termin nie pozwalał, aby go na inny czas odłożył, ażby się w równą partyją przyjaciół i krewnych przysposobił. Ale wojewoda, jak był serca wielkiego, tak nie chciał słuchać żadnéj perswazyi. Obrał sobie jednego towarzysza hussarskiego za sekundanta, z którym przy kilku sługach swoich ten pojedynek odprawił. Zrobił testament i cały dom swój rozporządził. Gdy mu do siadania wyprowadzono konia; ten, lubo w inne czasy powolny, tak rżał, miotał się i nogami grzebał, że dół niemały na dziedzińcu wykopał. Mówili tedy słudzy z płaczem do pana, aby tym razem nie wyjeżdżał, że oto koń miotaniem swojém nadzwyczajném i dołem wykopanym przestrzega pana, że zginie. Lecz wojewoda, nie dbając na żadne prognostyki, dosiadł gwałtem konia niespokojnego. Gdzie tylko przejeżdżał przez ulicę, wszędzie lud pospolity klękał na kolana, i w głos Pana Boga prosił, aby Poniatowski zginał, a wojewoda zdrów powrócił. Taką miał miłość powszechną u ludzi wojewoda, a nienawiść podkomorzy, czyli raczéj matka jego, która dla ponurego wzroku i surowości, pospolicie zwana gradową chmurą. Ona rej wodziła w domu i mężem rządziła. Ona była główną podnietą tego pojedynku, nie mogąc strawić owego twardego kąska, że syn jéj w piérwszym szwankował. Zawsze mu wymawiała, iż wstyd zrobił familii, owemi słowami opodlającemi: »Kocham pana wojewodę!« że mając więcéj braci, nie osierociłby domu, choćby sam zginał. Ztąd nienawiść ludu ku matce spływała na syna w życzeniu mu zguby. Ale się inaczéj stało.

Gdy stanęli na placu, zaczęli rzecz najprzód od zwady o owe paszkwile, które dobyte z kieszeni wojewoda zatchnął na szpadę, obiecując przybić je do serca podkomorzemu, cząc go ostatniemi słowy; nie skąpił i podkomorzy dla wojewody podobnych karczemnych panegiryków, a tak cokolwiek jest w języku polskim słów uszczypliwych, obelżywych, grubijańskich, wszystkie na siebie z kolei wyexpensowali.

Wojewoda chciał koniecznie potykać się na szpady, podkomorzy zaś nie, tylko na pistolety. Gdy tak w złości ujadając się chwilę, żaden żadnego na swoję wolą przeciągnąć nie mógł; nareszcie wojewoda pozwolił na pistolety, a pokazując serce, metę od sekundantów wymierzoną na 20 kroków, skrócił do pięciu. Na któréj stanąwszy pieszo, wypalili do siebie po dwa razy, obaj bezskutecznie, tylko któryś z nich przebiegającego przez plac pojedynku jakiegoś chłopa postrzelił. Wojewoda po dwoistém wystrzeleniu, nie dbając więcéj na sekundantów, ani na nikogo, rzucił się z szpadą na podkomorzego. Podkomorzy wzajemnie na wojewodę; po kilku sztychach i skokach ku sobie uczynionych, wojewoda pchnięty szpadą w samo serce, w słowach: »*O mon Dieu!*« chwytając się ręką za bok padł i umarł.

Podkomorzy blednięjąc z rany lekko po żebrach sobie zadanéj, porwany od swoich do karety, złożony w koszarach gwardyi konnéj nad Zdrojami, tam się kurował przez kilka niedziel. Rozruch wielki po Warszawie, płacz pospólstwa i przeklinanie Poniatowskiego sprawiły, iż się cała jego familija przez czas niejaki miała na ostrożności; dla tego i podkomorzego ranionego umieściła w koszarach, ażeby tam lepsze miał bezpieczeństwo od gwardyi, któréj wojewoda ruski, wuj jego rodzony, był jenerałem; mianowicie, iż rozumiano, że Tarło, wojewoda sandomirski, stryj zabitego, pan burzliwy i zuchwały z Mikołajem P*, Starostą Kaniowskim, w żołniérstwo nadworne możnym, szałaputem koronnym, krwią z Tarłami złączonym, na stypę za nieboszczyka wojewodę zechce zabić którego ciołka, czyli Poniatowskiego (bo ciołek jest herb Poniatowskich); długo trwało takie mniemanie. Lecz nie przyszło do żadnéj rozterki krwawéj. Obróciły się partyje do prawa, toczyła się przez kilka trybunałów sprawa. Skończyła się na grzywnach i wieży, którą podkomorzy koronny przez półroku w zamku warszawskim na górze, nie *in fundo*, przy balach i kompaniach wesoło wysiadywał. Tarło, wojewoda sandomirski, w lat sześć po tym pojedynku umarł. Starosta Kaniowski małym tylko straszny i pod wiechami rycérz, nigdy się na domy Czartoryskich i Poniatowskich, które się trzymały w kupie i znaczyły jedném nazwiskiem *familija*, porwać nie odważył. Anusia, przyczyna kłótni między familijami, poszła za mąż do Węgier za grafa Esterchazego, majętnego pana.

Wiadomości z placu przyniesione do Warszawy dwoiste były: jedni mówili, że wojewoda, zaślepiony pasyją, naciérając bez uwagi na Poniatowskiego, z jego ręki zginał. Drudzy twierdzili, że niejaki Korf, rodem Kurlandczyk, major w regimencie saskim jenerała Szybilskiego, sekundant w tym pojedynku podkomorzego, wmieszawszy się między bijących, pod pozorem dodawania serca, z pod ręki podkomorzego ranionego zadał sztych śmiertelny wojewodzie. Opinija czyniąca Korfa zabójcą była zawsze mocniejsza. Ale dekret trybunalski nie obwinił Korfa tylko podkomorzego; lubo i to pomnażało podejrzenie, że Korf po tym pojedynku wyjechał za granicę i nie powrócił do regimentu aż po skończonéj sprawie, choć wraz z podkomorzym był do trybunału pozywanym.«

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 39. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O potrzebie i użytku bronowania pokładów. 2) Jak poznać drzewo kiedy doszło do swojéj pory, także kiedy starzeje się? 3) Czyli lepiej na mniéj, czy na więcéj lat dzielić zręby. 4) Jak postępować w przesadzaniu drzewa. 5) Czego się spodziewać można z pomnożenia fabryk cukrowych. 6) Jak w Ameryce wybiérają miód nie wybijając pszczół. 7) O jarmarku na wełnę we Lwowie. 8) Łatwy sposób, żeby drożéj wosk sprzedawać. 9) Gospodarstwo zagraniczne.

Wystawa sztuk pięknych w Warszawie. Już lat kilka nie było tu wystawy sztuk pięknych. Wznowiona tego roku w czerwcu, ze wszech miar zaszczytnie wypadła. Do rzędu najpierwszych dzieł wystawy najsłuszniej policzone być winny prace Januarego Suchodolskiego, który lat kilka kształcił się we Włoszech. Sławione powszechnie dzieła jego są: »Zdobycie Abalcyku przez wojsko rossyjskie«; »Przejście góry Saganrog«; »Przejście góry St. Bernarda«; kilka scen z gościńców włoskich, jakoto: »Powrót z winobrania«; »Napad bandytów«; »Wieśniacy przed pustelnią«; »Rybacy przy świetle księżyca« i »Widok Sorentu.«— Alex. Kokular, zasłużony profesor, ozdobił wystawę obrazem historycznym własnego pomysłu, przedstawiającym: »Wzięcie w niewolę Hagi-baszy.« Oprócz tych odszczególnili się: Marcin Zalewski widokami, mianowicie: »Placów Zygmunta i Teatru wielkiego«; »Amfiteatru w Łazienkach«; »Gór

Denasiowskich« i t. p. — Franciszek Paszkowski dwoma oryginalnemi obrazami: »Dziéwczyna po płaczu« i »Młoda niewiasta splatająca włosy.« Obrazy pełne życia i prawdy. — Bawiący w Mnichowie Alexander Lesser obrazem: »Fechtmistrz niemiecki 16. wieku.« — Wincenty Kasprzycki odmalował gładkim pęzlem: »Widok banku polskiego« i »Część cmentarza w Powązkach. — Kasper Rahn szwajcarskie i polskie krajobrazy z natury. — Bonawentura Dąbrowski dwa piękne obrazy: »Człowiek siedzący przy ogniu palącego się pieca« i »Scena w karczmie prowincyjonalnéj.« Wreszcie były obrazy, tak oryginalne jakoteż kopie: pp. Piotra Lebrun, J. Sikorskiego, L. Plaskowskiego, K. Macha, A. Wysockiego, J. K. Minasowicza i t. d. Płeć nadobna nie dająca się w niczem wyprzedzić, co jest szlachetne i piękne, miała na tegoroczněj wystawie w wydziale malarstwa swoje reprezentantki w pp. Bajerowéj, Brzezińskiéj, Aug. Glinka, Alb. Gładysz, Anieli i Krystynie Lessel, z Hauków Pawłowskiéj, Am. Pfanhauser, z Czackich Szeptyckiéj i J. Żarnowskiéj. — Rzeźby były dłuta J. Tatarkiewicza i Konst. Hegla. Pierwszego »Psyche,« z białego marmuru, zwracała powszechną uwagę. — Według drukowanego katalogu, wystawa liczyła w ogóle dzieł malarskich przeszło 200, snycerskich 10; pracowało nad jéj uświetnieniem 50 osób płci obojéj.

Wiadomości literackie. *Ziemianina Wszerady,* wydawanego przez Kałussowskiego, wyszło dotąd 5 zeszytów. — Ma wyjść nowe wydanie dzieła Czackiego: *O prawach polskich i litewskich.* — Jeden ze znakomitych nowoczesnych romanso-pisarzy napisał nowa powieść bulgarska w 2ch tomach, pod tytułem: *Kirdziło.* — U Breitkopfa i Härtla w Lipsku wychodzi z druku: 100 *bajek podług Lafontaina,* z 100 obrazkami z edycyi paryzkiéj J. J. Grandvilla, zebrane z różnych tłumaczeń przez Bobrowicza. — Dzieło p. Kozłowskiego: *Statystyka Europy,* wkrótce prasę opuści. — Pisma praskie, tak *Czasopis czeského Muzeum* (zeszyt II.), jakoteż *Kwěty* (nr. 30.) mieszczą obszerny artykuł: *O literaturze polskiéj,* pióra K. W. Zapa.

Gonitwy w Berdyczowie. Pisma paryzkie mieszczą list z Brodów z d. 20. czerwca, pisany przez pewnego francuzkiego kupca i zawierający następujące ciekawe szczegóły: »Szkoda, że członkowie klubu waszego *Jockiej* nie znajdowali się na wielkim jarmarku w Berdyczowie, który zaczął się d. 12. czerwca i trwa dotąd jeszcze. Wyobraź sobie 25.000 na sprzedaż wystawionych tabunów, tatarskich, kałmuckich, kabardyńskich i kozackich koni, tyleż ujeżdżanych po stajniach, a codziennie rano i wieczorem ośm gonitw między europejskimi i azyjatyckimi jeżdzcami! D. 14. czerwca Tatar Ali wyzwał Polaka Abramowicza; cel wytknięto o sześć francuzkich mil, a nagrodę wyznaczono z dwóch biegunów i 10.000 rubl. ass. Polak zwyciężył; koń polski przybiegł do mety w 27 minutach; tatarski padł na drodze. D. 15. czerwca dwudziestu pięciu młodych Czerkasów, Polaków, Rossyjan, Tatarów i Kozaków goniło na wyścigi. Nie ujrzysz nic bardziéj malowniczego jak te różnobarwne ubiory, te wschodniéj rasy bieguny, wreszcie ta mnogość dam, które przypatrując się z powozów, natężeniom jeżdzców wołaniem swojém dodawały bodźca. Kapitan Kozaków dońskich, Jełowański (?), pierwszy dopędził do celu i otrzymał w nagrodę 20.000 rubl. ass.«

Zdanie o napowietrznych balonach. Ciągłe usiłowania, jakich angielscy fizycy i uczeni w ostatnich czasach do istotnego ulepszenia balonów napowietrznych, już przez olbrzymią wielkość, już przez nowy sposób ich napełnienia, przykładają, spowodowały w naukowym względzie bardzo gruntowną *Gazette de France* do następującéj uwagi: Do wszelkich innych zbytków policzyć należy i to usiłowanie, na które Anglicy i czas i pieniądze marnują. Z radością przychylilibyśmy się do sposobu kierowania balonem napowietrznym, przezcoby człowiek podbił pod swą władzę powietrze. Atoli najpiérwszym warunkiem do tego jest zarzucenie czółna; potrzeba aby człowiek mógł siedzieć w samym środku balona napowietrznego, a sam balon kształt ryby mieć powinien. Drugim warunkiem jest, aby się podnieść i utrzymać można na wysokości niemal 1500 sążni, to znaczy za obrębem prądów i wiatrów, inaczéj takowe, jakiekolwiek będą środki kierowania, miotać będą balonem na wszystkie strony.

Jasnowidząca. Za dokładne i na wypadkach oparte rozwiązanie pytania, azali mniemane zjawienia zwierzęcego magnetyzmu są w istocie rzeczywiste, doktor Burdin, członek akademii lekarskiéj w Paryżu, wyznaczył nagrodę 3.000 franków, a mianowicie na korzyść owego jasnowidzącego, któryby czytać mógł pismo bez pomocy zmysłu widzenia lub dotykania. Właśnie odebraliśmy wiadomość, że córka niejakiego pana Pigeaire z Montpellier rozwiązała to zapytanie; albowiem mając mocno zawiązane obiedwie oczy, czytała doskonale równie druk jak i pismo, które jéj podano; ale rzeczą uwagi godną jest to, iż panna Pigeaire musi wprzód dotknąć się pierwszéj litery palcem skazującym. Jakkolwiek zjawienie to samo przez się jest zadziwiającém, wszelako nie ze wszystkiém odpowiada warunkom powyższego zadania, ponieważ panna Pigeaire trzymając ręce w tyle, albo mając między książką a opaską na oczach, jaki przedmiot nieprzejrzysty, żadnego pisma czytać nie może. Pomimo to, nadzwyczajne zjawienie to skłoniło jednak doktora Burdin do przyznania nagrody dla téj jasnowidzącéj, zwłaszcza jeżeli prawdziwość doniesienia potwierdzoną zostanie; z któregoto powodu panna Pigeaire ze swoim ojcem do Paryża wyjechała.

Początek i znaczenie kart. Karty do grania były już znane r. 1299 we Włoszech. W r. 1320 przyszły do Niemiec, a r. 1387 do Hiszpanii, gdzie Jan, król Kastylii, wydał edykt dla stłumienia tego piekielnego wynalazku w samym zarodzie. Wizerunki kart otrzymały swoje nazwiska około r. 1450. Argine, nazwisko damy *trefle,* jestto anagram reginy, pod którym Maryję Andegaweńską, małżonkę Karola VII. rozumiano. Rachel, dama *carreau,* byłato Agnes Sorel, kochanka króla. Pallas, dama *pique,* była dziewica Orleańska. Judyta, dama *coeur,* była Izabella Bawarska, matka Karola VII. Czteréj królowie: Dawid, Alexander, Cezar i Karol W. przedstawiają czterech książąt tegoż nazwiska. Cztéry walety: Ogier, Lancelot, la Hire i Hector de Galend są historyczne osoby. Walety przedstawiały rycerzy, a inne karty aż do dziesiątek wyobrażały żołnierzy. Kolory oznaczały symbole, czyli godła wojskowe. *Coeur* oznaczało męztwo, odwagę; *pique* i *carreau* broń, oręż; a *trefle* znamionowało żywność. As był znamieniem pieniędzy, jako *nervus rerum gerendarum.*

Kupieckie ocenienie artysty. Pewien Anglik przyszedł nie dawno do jednego z pierwszych malarzy w Paryżu z prośbą, aby w jego imionniku odrysował mu konia. Artysta uczynił zadość jego żądaniu. »Wieleż się za to należy?« zapytał Anglik. — »Dwadzieścia dukatów.« — »Jako, dwadzieścia dukatów... czy to być może, wszakże wćpan ledwo dwadzieścia minut nad tem pracowałeś?« — »Mylisz się mój panie,« odpowie artysta; »lat ja dwadzieścia pracowałem, za nim się tego konia rysować nauczyłem.«

Redaktor Jan Nep Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*